



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

W KWIETNIU. ⁽¹⁾

W cichej szwajcarskiej dolinie wesoło słychać śpiewanie,
Bo już zielono na górach, — męże tam stada pognali;
Ze ścian skalistych porowu potok się ciska wezbrany,
A rzesza niewiast wesoła pierze tam chusty u stoku.
Wiatr niesie wdzięczny chór głosów, łoskot kijanek im wtórzy,
A niebios błękit pogodny nie zdradza gromów ni burzy.

Chaty zostały samotne, ogniska wszystkie zgaszono,
I drzwi na kołki zaparto; przecież gałązka wierzby,
Młode mi listki zielona, od każdej strzechy się zwiesza.
Głosząc wesołym swym majem, że zima precz już odeszła,
Że wiosna teraz i praca: ptaszków na gniazda siadanie,
A ludzi zachód troskliwy o ład i statek domowy.
Więc śpiewa niewiast gromada przy gospodarnym swym trudzie.
Dzieci zaś tańczą na łągu zrywają białe pierwiosniki.
Dzieweczki wianki z nich wiją, lecz chłopcom chce się coś więcej...
W wąwozie jednym głębokim znajdują czmielinę na łuki,
A gdy i grotty porobią, będą się bawić w rycerzy:
Będą strzelali do celu, potem uwieńczą zwyciężcę,
I chór zawoła mu: — Chwała! .. chwała, żeś silny i śmiały!..

Więc biegają w wąwóz ów długi, jeden drugiego wyprzedza;
Aż nagle wszyscy stanęli, jak obrócenii w kamienie:
Bo oto w głębi wąwozu widzą prawdziwych rycerzy,
Zbrojnych w dziryty i miecze, w pancerzach z błyszczącej stali.
Zrazu oniemia ich trwoga, lecz chwilę tylko tak trwało.
— Austryak! — krzyczą — Austryak! i biegają pędem w dolinę,
A matki słyszą te krzyki, widzą chłopięta pobladłe,
I straszny obraz nieszczęścia nagle przed wzrokiem ich staje. —

Wróg to podstępny i chciwy, starych ich swobód zazdrosny,
Naszedł ich piękną dolinę, w chwili gdy stoi bezbronna,
Kiedy mężowie daleko i nie ma czasu ich wzywać...

Naszedł, by podbić i zabrać...

Rozpacz ogarnia niebogi,
I nagle w sercach niewieścich ogień się dziki zapala,
Kijanki swoje chwytają i straszny, krzyczącym tłumem,
Biegają od stoku w dolinę, biegają... U wejścia wąwozu,
Niby Menady szalone, na zbrojnych mężów wpadają,
Biją zdziwionych — po zbrojach, po hełmach drewnami wałą,
I takim gwałtem namiętnym prą zaskoczonych znieścacka,
Że ci, cofając się nagle, łamią szyk dalszych szeregów,
A twarde ściany granitu tak ich z dwóch boków ściskają,
Że się rozwinąć nie mogą, nie mogą sięgnąć po miecze,
Użyć dzid swoich mordeczych i tył podają sromotnie, —
Męże, zgębieni niesławnie przez słabe ręce kobiece...

Mocne przez siłę uczucia, przez rozpacz dzielnie natchnione,
Gdy śmierć nie była im straszną w obec tej myśli okrutnej,
Że będą życie wieść nędzne, — nagle zmieniają się w sobie
Z niewiast mężami się stają, a czyn ich na dziejów karcie
Stoi zapisan — na wieki sławę pamięci ich głosząc.
Lecz jednym jeszcze sposobem cześć im oddaną zostaje,
I po brababkach prawnuczki dziedzictwo biorą tryumfu:
Do wielkanocnej spowiedzi nie męże, jak jest w tym kraju,
Ale kobiety są pierwsze: idą do Stołu Pańskiego,
Matek swych chwałą okryte, przeszłości blaskiem promienne,
A gdy przypadkiem podróżny, widząc obyczaj zmieniony,
Przyczynę tego chce dociec, usłyszy dumną odpowiedź:
Że prawie trzysta lat temu kraj ten przez niewiast swych mężtwo,
Uszedł wielkiego nieszczęścia — wielkie otrzymał zwycięstwo.

M. I.

1) W Kwietniu 1622 r. w dolinie Präkigau w szwajcarskim kantonie Gryzonów, kobiety osamotnione przez mężczyzn, którzy popędzili stada w góry na wygon letni, odparły podstępny, na ten dzień ich samotności upatrzony, napad Austryaków w wąwozie między Klosters i Landquart. Pamięć bohaterskiego czynu utrzymuje się dotąd między ludnością miejscową.

POGA WĘDKA.

Zapóźniłem się, niestety, tak bardzo, opuściłem tak dużo, że mi tylko na stanowisku kronikarza do łaski i pobłażliwości swoich szanownych czytelników apellować wypada, a że do grzechów felietonisty niespełniającego regularnie swych obowiązków w Wielkim Tygodniu się przynaję, liczę na ich odpuszczenie, i nie próbuję się nawet usprawiedliwiać, dlaczego ostatni raz aż przed miesiącem zabrałem głos na tem miejscu.

Mógłbym użyć tej wymówki, że, co prawda, nie tak bardzo ważnego nie stało się w kronice Warszawy przez czas mojego milczenia i nieobecności.

Wielki Post kroczył poważnie i z godnością po swej, popiołem usypanej, drodze, a Warszawa rozmyślała nad znikomością świata i wszelkich ziemskich rozkoszy w sposób melodramatyczny, jak zwykle, bo przy akompaniamencie muzyki, bez której u nas nic się obejść nie może.

Jeżeli chodziło o umartwienia w formie najłagodniejszej, to nie brakło do nich sposobności; „człowiek towarzyski“ umartwiał się ciewieczór na rautach, koncertach, odczytach i przedstawieniach amatorskich, splacając należny haracz filantropii i rozmaitym pięknym, humanitarnym celom.

„Człowieka towarzyskiego“ czeka jeszcze ostatnia próba, jaką corok przejść musi zwycięzko, obiegając wszystkie kwesty i meldując się wszystkim znajomym damom przy jałmużniczych tacach, a następnie pozostanie mu tylko obowiązek zjadania święconego przez dwa dni od południa do północy i robienia doświadczeń na wytrzymałości swoich nóg i żołądka.

Byłoby wielkim anachronizmem wspominać dzisiaj o obowiązku kronikarskiego, że „Wisła narzeszcie puściła“ i że pod Warszawą, dzięki wysadzeniu wcześniej lodów w powietrze, obyło się bez większej katastrofy wylewu, czego, niestety, nie można powiedzieć o okolicach bliższych i dalszych, stojących jeszcze tu i owdzie pod wodą; ale zanotować się godzi, że wiosna objęła swoje rządy nad ziemią przy salwach piorunowych i grzmotami obwieściła swój pochód tryumfalny, który się rozpoczął od... ulewnych deszczów, splukujących śniegi po polach.

Natura lubuje się obecnie w dziwnych kontrastach, podobnie jak kapryśna moda, i sprawia ludziom niespodzianki najmniej przewidywane.

Określenie niestosowności jakiegokolwiek, które w naszym języku miało dotąd swą formę w wyrażeniu: „nadaje się, jak kwiatek przy kozuchu“, z biegiem czasu nabrało i sensu, i aktualności. Nosimy bowiem fijołki przy futrze i sinym nosem od zimna wachamy zapach kwiatów, kłamiących najężej, że są dziećmi prawowitemi prawowitej wiosny.

O tych dziwactwach aury pisano i mówiono już tyle, a co najgorsza, odczuwano je we wszystkich kościach i stawach, że tylko dla odwiecznego zwyczaju wspominam o pogodzie, aby rozruszać język do pogawędki niniejszej.

Przekonałem się bowiem, że ten stary sposób rozpoczynania konwersacji od słów: „Co za brzydki dzień mamy dzisiaj,“ albo: „Chwała Bogu, jakoś się wypogadza“, jest jeszcze najpewniejszym środkiem do wymiany zdań i myśli, podobnie jak zaczynanie wszystkich tańców od pieca bywa najlepszym początkiem dla niewprawnych tancerzy.

A przekonałem się o tem na rautach tegorocznych, których było bez liku—i na których przyjemna konwersacja stanowiła trudny często do spełnienia obowiązek.

Uwierzyć się nie chce: jak sztuka rozmawiania u nas upada; jak owa piękna i szlachetna tradycja „bawienia dam w salonie“ wietrzeje niemal z każdym rokiem; jak ją jedynie jeszcze podtrzymuje ta stara, siwa gwardya, która ma zawsze coś do powiedzenia i umie to powiedzieć w formie najbardziej zajmującej.

Od wieków utrzymuje się przekonanie, że starość jest gadatliwą i nudną; obecnie zdaje mi się, że zmienić-by to uprzedzenie wypadało. Młodość

jest nudną, bo milczy i ziewa, odezwać się nie umie i drzemać lubi w najliczniejszych nawet towarzystwach.

Zdawałoby się, że tematu nie powinno zbraknąć do ożywionej rozmowy w tak zwanych kołach inteligentnych, dla których szeroką wiadomością bywa salon; a tymczasem ci ludzie inteligentni, kiedy się zbiorą w liczniejszym gronie—(ja nie mówię o wyjątkach)—mają minę tak jakoś zakłopotaną, apatyczną, ociężałą, tak im jakoś nie idzie z tą gawędą, jakgdyby literalnie mówić nie mieli o czem i wtedy sytuacją ratują jedynie damy, których czwórka panuje nad całym jednolitem czy mieszanym towarzystwem: pikowa, kierowa, treflowa i karowa.

Przy zielonych stolikach koncentruje się dzisiaj rozmowa i zabawa towarzyska, a coraz częściej z salonu do gabinetów popelnia dezercyą i płeć piękna, w całym tego słowa znaczeniu, gdyż, nie chcąc być osamotnioną, przechodzi w niezliczone szeregi „winciarzy.“

Widziałem na własne oczy młode panny, z których jeszcze nie wywietrzała pensjonarska naiwność, zgrywające się w karty na *jour-fixach* i rautach do spółki z młodemi mężatkami, rezygnującami z całego uroku, jakim olsniwać-by mogły mężkie towarzystwa.

Nasze prywatne zebrania są nudne i stają się coraz nudniejszymi; nie jest to więcej tajemnicą zpod wachlarza.

A te nudy, — to choroba epidemiczna, niestety, i na pewno mająca swoje źródło głębsze, nie w jakiejś przypadkowej fatalności złego dobrania osób lub okoliczności towarzyskich, lecz w samej istocie dzisiejszych ludzi młodych i starych, świeżych i przeżytych, kobiet i mężczyzn.

Jakiś chłód i pustka więją z dusz wystudzonych przed czasem i wygasających, jakiś indyferentyzm i lenistwo umysłowe objawia się w młodym pokoleniu; a te drobne napozór symptomata, są jak owe plamki i krosty na ciele człowieka dotkniętego zakaźną chorobą.

Nie należałoby ich lekceważyć.

Ponieważ nie jestem powołany tutaj do urządzania wielkopostnych rekolekcyi, lecz do zdawania sprawy z życia syreniej stolicy, więc tego ujemnego tematu obszerniej rozwijać nie będę, polecając go zastanowieniu moich czytelników, a sam przejdę do faktów kronikarskich.

Oprócz całej plejady rautów ziewających po salonach prywatnych, mieliśmy kilka rautów publicznych, które, umiejętnie ułożonym programem urozmaicone, powiodły się wybornie, ale dziwić się temu nie można, kiedy się doda, że najważniejszym wabikiem i ozdobą ich, była deklamacya p. Popiel-Święckiej.

Znakomita artystka talent swój chowa w sanctuarium domowem, jak relikwie, i tylko raz lub dwa razy do roku ukazuje go publicznie z koncertowej estrady, a wtedy niema końca oklaskom, przywoływaniom, okrzykom zachwytu i utyskiwaniom, że taki skarb pozostaje wukryciu.

W pani Święckiej i w Żółkowskim pozostały dwa wyjątkowe, niepospolite, prawdziwe talenta na wielką skalę, które nie powtarzają się tak łatwo i tak często na scenach.

Tylko Żółkowska, pomimo ósmego krzyżyka na plecach, pozostał wiernym sztuce i nie schodzi ze stanowiska, jak Vaucourtois ze „Starych kawalerów“ powtarzając o sobie:

— To będzie dobre, kiedy się już zestarzeję—Pani Popiel-Święcka przeniosła zacisze domowe i ognisko rodzinne wśród swoich uroczych Milusińskich nad sławę, wieńce, oklaski, wrażenia sceniczne, nad tryumfy wieczorne i pochwały nazajutrz we wszystkich pismach codziennych.

Nie przestała być zawsze tą świetną, jedyną w swoim rodzaju artystką, chociaż zesza ze sceny i wrócić na nią nie chce, pomimo wszelkich pokuszeń i przyzwyczajenia, które w rodzie artystów z Bożej łaski, więcej, niż u reszty zwyczajnych śmiertelników, bywa drugą naturą.

Publiczność zapomnieć jej nie potrafi, a ilekroć znajduje sposobność usłyszenia z jej ust znów tego cudownego głosu, w którym drga najpiękniejsza nuta kobiecości i wiecznie świeży i poetyczny wdzięk żywego słowa, śpieszy całemi tłumami po rozkoszne wrażenia do sali koncertowej, aby zo-

baczyć swą ulubienicę i deklamacyi jej słuchać, niby najbardziej melodyjnej muzyki...

Melomanie nasi mieli również piękne chwile w ciągu bieżącego postu.

Po Żeleńskim, który obecnie bawi w Paryżu i przed tamtejszym areopagiem znawców rozwinąć zamierza swój kompozytorski talent, przybył w gościnę Moszkowski.

Gdyby nie był znakomitym muzykiem, byłby znakomitym humorystą, ale ten drugi talent najdowcipniejszego *causeur'a* i anegdocyisty zachował sobie tylko do prywatnego użytku i zachwyca nim swoich przyjaciół i znajomych w ścisłych kółkach towarzyskich.

Pod sztandarem wysokiego *Cis* przeszedł tryumfalnie przez estradę koncertową w Warszawie „król tenorów“ europejskich, p. Władysław Mierzwiński, a za nim, jakby dla kontrastu, z najniższym *Fis* altowem przemknęła się znakomita śpiewaczka włoska Scalchi-Lolli, która w jednym jedynym koncercie, z dobroczynnym celem na dochód Schronienia nauczycielek, przypomniała się publiczności warszawskiej z lat dawniejszych, kiedy-to Miss Ella Russel nie była jedyną i uprzywilejowaną primadonną w naszej operze.

Dwa tedy fenomenalne głosy współczesne: męzki tenor i kontralt kobiecy, rozbrzmiewały u nas w tym sezonie ku wielkiej radości melomanów, których, jak wiadomo, Warszawa jest gniazdem rodzinnem.

O przedstawieniach amatorskich wspominać z obowiązku. Od czasu zamknięcia Teatryku Dobroczyńności, w którym piękna tradycja miłośników i ochotników sceny zejść musiała „na dziady“ z woli szanownego zarządu, widowiska tego rodzaju są rzadkością w Warszawie, że zaś w opinii łaskawych, a zwykle interessowanych, widzów, wszyscy amatorowie na całym świecie grają „wybornie i doskonale“, lepiej nawet, niż prawdziwi artyści: zatem niema najmniejszej kwestyi, że oba przedstawienia, jedno na trzecią szwalnię, drugie na osady wakacyjne, udały się wysmienicie.

Tem śmielej mogę to przyznać, że naprawdę pod względem gry i zdolności obie amatorskie trupy tym razem zasługiwały na pochwałę bez konwencyonalnego pochlebstwa.

Odczyty posypały się w tych czasach, jak z rogu obfitości; brak literackich tematów sprawia zapewne, że publiczność nie przejmuje się nimi tak gorąco, jak to bywało dawniej, gdy hr. Stanisław Tarnowski, rzec można, nadawał główny ton prelekcjom warszawskim.

Obecnie bardziej specjalne, żywotniejsze, z kwestyami bieżącej chwili związane temata są przedmiotem traktowanym z katedry.

Największem dotąd powodzeniem pod względem ilości słuchaczy cieszyli się wśród prelegentów na Osady Rolne i Towarzystwo Dobroczyńności: Dr Julian Ochowicz i Henryk Sienkiewicz.

Pierwszy mówił o rozmaitych stanach hypnotycznych, drugi o powieści historycznej, obaj *pro domo sua*, każdy w swoim kierunku.

Słuchając wywodów Dr Ochowicza i przykładów czerpanych z jego własnych doświadczeń i praktyki leczniczej, zastanawiałem się nad tem, że skoro to zwężenie świadomości psychologicznej, o jakim prelegent mówił, zaciera coraz bardziej granicę między snem i jawem; skoro umysł i wola ludzka poddawać się muszą jakimś zewnętrznym, niewidzialnym, tajemniczym wpływom drugiej osoby: to wkrótce nie będzie można być siebie samego i swoich uczynków całkowicie pewnym i trzeba będzie szczypać się nieustannie w łokieć, aby nie wpaść w jaki sen magnetyczny, albo w jaki letarg, albo w katalepsję, lub w którykolwiek z tych stanów hypnotycznych, w których się jest automatem ludzako tylko podobnym do człowieka, obdarzonego samowiedzą i wolną wolą.

Co do obrony powieści historycznej, przeciw której z nowszą krytyką wystąpił Brandes, przyrównując ją do „prawdziwej kawy figowej“, reklamowanej w ogłoszeniach sklepów korzennych, która jeśli jest prawdziwą kawą, to nie jest figową, a jeśli jest figową, to nie może być prawdziwą, sędzę, że kwestyą tę i racją bytu historycznego romansu rozwiązała oddawna tacy pisarze, jak Walter-Scott i stary Dumas, Freytag lub

Ebers, Kaczkowski, Rzewuski i Sienkiewicz — swoim talentem i swymi utworami.

Skoro się nie odmawia racji bytu samej nauce historii i jej badaniom przez Thiersów, Mommseńów, Schlosserów, Szajnochów, Macauleyów, Cesarów Cantu i t. p., ze stanowiska poważnej wiedzy, to dlaczegoż zaprzeczać prawa autorom, powieściopisarzom, dramaturgom, poetom, do wskrzeszenia przeszłości, ku czemu im nie tylko tesame poważne źródła pomagają, ale i twórcza intuicja służy.

Tylko niechaj do takiej pracy nie biorą się prostacze umysły niedowarzone, płytkie, zamało przygotowane; niechaj rozstrzyga prawdziwy talent i gruntowna znajomość tej przeszłości, którą się przedstawia w ramach sztuki, w powieści, na scenie, lub w poemacie.

Ścisłe rzeczy biorąc, i najwięksi dzisiejsi realisci, opierający się na bezpośrednim badaniu natury ludzkiej i faktów rzeczywistych, zbierający skrzętnie „ludzkie dokumenta“ do swych powieści, nie mogą powiedzieć z całą pewnością i z całym przekonaniem, że — przepraszam za pospolite porównanie — włązą żywcem w całego człowieka, którego mają tuż przed oczyma, że go znają nawskróś, do najtajniejszych jego głębin duchowych; i oni na podstawie pewnych danych wysnuwają o nim dopiero swoje wnioski, dopełniają materiał spostrzegawczy własną intuicją, własną logiką i odtwarzają według swego własnego widzimisię owego bohatera, który ma być w swoim rodzaju również ową „prawdziwą kawą figową“ z tą różnicą, że ta kawa bywa w istocie najczęściej tylko figową, a podawana jest za prawdziwą.

Przyznaję się, że więcej podniosłych wrażeń, a może i pożytku zawdzięczałem starym bajarzom potępionej szkoły historycznej, jak stary Dumas, autor „Muskieterów“, lub Walter Scott, twórca „Wawerleya“, niż wielu dzisiejszym rozgłośnym koryfeuszom powieści francuskiej, którzy mnie z jednej ostateczności ścigali w drugą, ze sfer szczytnych i wysokich zbytniego idealizmu w padół nędzy, błota i śmieci codziennego realizmu życiowego.

Może to rzecz gustu, ale zawsze należałem do tych, którzy wołają żywego lwa, niż zdechłego kota i nie umieją rozkoszować się wyziewami padliny, w której żyją jedynie robaki.

Z radością też witam, i w poezji, i w powieści, i na scenie, zapowiedź pewnej reakcji i zwrot ku tym szlachetniejszym, zapoznanym zbyt krainowo ideałom piękna, które mi nie każą odwracać oczu z obrzydzeniem i zatykać nosa wobec owej przechwalanej a tak jednostronnie badanej prawdy życiowej na gruncie realistycznym...

Pozostaje mi jeszcze długa kronika nekrologiczna. W ostatnich kilku tygodniach śmierć porobiła znowu dotkliwie i niewyrównane szczyby w szeregach ludzi pracy, zasługi publicznej i talentu. Oto we Lwowie zmarł protomedyk galicyjski, b. profesor anatomii patologicznej w Uniwersytecie Jagiellońskim, jeden z najświetlejszych lekarzy, pamiętny z odwagi i poświęcenia, z jakim przed laty dziesięciu dobrowolnie udał się w astrachańskie okolicie w celu zbadania dżumy, grożącej u progu Europy. Dla dobra nauki i ludzkości zrobił tę ryzykowną wyprawę, z której powrócił, na szczęście, zdrowy, i wzbogacił wiedzę nowymi zdobyczami.

Umarł w pięćdziesiątym roku życia, z którego więcej niż połowę poświęcił medycynie i dobru publicznemu, jako lekarz, nauczyciel i obywatel.

W tym samym Lwowie rozstał się z tym światem znakomity matematyk, s. p. Wawrzyniec Zmurko, umysł oryginalny, pomysłowy i badawczy, zajęty w danej specjalności czystą wiedzą i na jej polu pracujący bezustannie i wytrwale przez lat kilkadziesiąt. Jego „wykład matematyki na podstawie ilości o dowolnych kierunkach“ zrobił mu szeroki rozgłos, a rozliczne rozprawy i odkrycia przyniosły mu wiele zaszczytnych dowodów uznania. Jako nauczyciel pochlubić się mógł długim szeregiem uczniów, zajmujących dziś wybitne stanowiska w zawodach technicznych. Syn jego jest znanym malarzem.

W Krakowie zawczasie położyła się do mo-

gily młoda autorka, była artystka dramatyczna, Walerya z Soleckich Błotnicka, żona utalentowanego rzeźbiarza; umarła właśnie w chwili, gdy talent jej coraz szersze torować sobie zaczął drogi na polu belletrystyki i zdobywał uznanie u czytającego ogółu. Pozostało po niej kilka powieści i znaczna ilość nowel w szlachetnie-realistycznym stylu pod względem formy pisanych; pozostało pierwsze dzieciątko w osieroconej kolebce, które miało szczęśliwiej matce i ojcu dodawać otuchy do pracy a blasku w życiu.

W Warszawie pochowaliśmy sędziwego lekarza, twórcę — rzecz można — zakładu kąpielowego i leczniczego w Ciechocinku; spracowany i zasłużony w dziedzinie balneologii krajowej, Dr. Roman Ignatowski umarł, przeżywszy lat ośmdziesiąt kilka a z tych przeszło pięćdziesiąt oddawszy na usługi kilku pokoleń pacjentów, szukających ulgi i pomocy na swoje dolegliwości i cierpienia u źródeł ciechocińskich.

Tutaj wreszcie zamknęła oczy na wieki zacna przyjaciółka młodzieży, pracownica pożyteczna w dziale literatury pedagogicznej, s. p. Maryja Julia Zaleska, której pióro z taką korzyścią służyło naszej dźwiatwie, popularyzując wśród niej poważne wiadomości naukowe, szlachetne zasady i pojęcia, budząc zamiłowanie do pracy i nauki.

Ileż przybywają takie mogiły, podwójną żalobą okrywa się społeczeństwo i z podwójnym smutkiem spogląda dokoła, szukając godnych następców na opróżnionych stanowiskach.

Ale nie trzeba się wyrzeka nadziei, nie trzeba wątpić, że się znajdują, i że dla pracy społecznej, umysłowej, pięknej i pożytecznej — nowych sił nie zbraknie.

Choć po takim minorowym nastroju trudno otrząsnąć się od razu z bolesnego wrażenia, jednak z tem większą serdecznością zasyłam Wam doroczne moje życzenia: „Wesołych i pogodnych Świąt!“...

Quis.

PRZYJACIOŁKI BALZAKA.

Carraud, de Castries ks. d'Abrantès, Sand, Ewa Rzewuska).

(Dokończenie.)

Po zamianie kilku listów, które go rozciekawiały, kazał się przedstawić jednej z najświetniejszych gwiazd ówczesnej epoki, księżnie de Castries. Pani ta dziwną swą urodą tycyanowskie przypominała typy; czerwone włosy wieńczyły blade czoło, profil rzymską zachował rysów klasycyzm, wtedy nawet, gdy wypadek na polowaniu i nieszczęśliwe spadnięcie z konia przyprawiły ją o wczesne kalectwo.

Gości przyjmowała, leżąc napół, wśród zabytków sztuki i pamiątek innych wieków, a rozmowa i wdzięk przykuwały ich do boku sofy, która jej służyła za tron salonowy. Czują na arystokratyczne otoczenie i ramy, Balzac, z pewną naiwnością dał się wprzódz w rydwan chłodnej kokietki, która pragnęła tylko pochlubić się zaszczytną zdobyczą. Przez pięć lat bawiła się nim, jak kot myszą, nie dopuszczając do żadnej z sobą poufałości, a trzymając jednak w kleszczach serdecznej niewoli. Żaden kaprys ubóstwianej bogini nie był zdolny uleczyć Balzaka ze ślepego bałwochwalstwa. Dawno rozczarowany, jeszcze nie zrywał swych pęt, choć cierpiał okrutnie, i zwierzał się z tego cierpienia powiernicy swej, pani Carraud. Ale odczepić się, oderwać nie umiał, a co gorsza, siły rozdzielone między świat, którego niegdyś unikał, a Syzyfową pracę autorską wyczerpują się rychło w dwojakiej służbie.

Dziki do niedawna odludek, teraz skwapliwie obiegał salony; zaniedbany w ubraniu, teraz wyszedł na eleganta, próbował się dostroić do otoczenia pani swego serca, trzymał konie, ekwi-

paż, brnął w nowe długi... A ona nic nie wiedziała niczego się nie domyślała w próżności zadowolnionej z posiadania wielbiciela tej miary. Nareszcie Balzac znalazł siłę zerwania stosunków z osobą bez serca i bez litości. Pracą spróbował stłumić ból rozpaczy i takiej się oddał twórczości, że lekano się dla niego mózgową chorobą. Odzwierciedlił w jednej ze swych powieści typ wyrachowanej i niemilosiernej kokietki: „Ja jeden wiedzieć mogę, co za srogość w podobnej znajduje się istocie.“

Po latach, pisząc raz do pani de Castries powtarzał jej niemą wymówkę lat dawnych: „Pamiętaj, księżno, że chcąc żyć, trzeba kochać, i że gdy duszy pokarmu zbraknie, słabnie ona na wzór głodnego ciała. Nie kochasz, i dlatego smutek cię trawi.“

List ten jest wariantem wiersza Alfreda de Musset do księżny Belgiojoso: *A une morte*. Przesuwa się i ona w tych kartach, niby widmo wychudłe i blade, oświecone parą błyskawicznych oczu. Typ to był piękności, jak wraz w guście romantyków, a kocia zalotność uroczej Włoszki mnogich jednała jej wielbicieli. Balzac do nich się nie zaliczył, mimo sprzedającej dla niego grzeczności księżny Krystyny, która lubiła się otaczać wybitnymi osobistościami. Chętniej zato powracał do innego salonu polityczno-literackiego, do państwa de Girardin, pociągnięty tam dawną swą przyjaźnią dla uroczej Delfiny, którą znał jeszcze w domu jej matki. Ale stosunek był to dorywczy, zamącany ciągłymi nieporozumieniami z jej małżonkiem. — Dyrektor *Pressey* chciał odcinków zajmujących, sensacyjnych powieści, do jakich Dumas przyzwyczał czytelników.

Tymczasem Balzac dostarczał mu nierównie wyższych i głębszych romansów, ale tak psychologicznie opracowanych, tak ginących w metafizyce namiętności i drobiazgowych szczegółach, że znudzona publiczność domagała się innej strawy, a przestraszony o dalsze swe interesa, redaktor wyrzucał autorowi brak poczytności i ciekawych zawikłań. Ztąd ciągle kwasy i wymówki, wśród których pani Girardin odgrywała rolę pośredniczki, nieraz i piórem popierając dawnego przyjaciela młodości. I tak, gdy raz krytyka wyrzuciła Balzacowi, iż bohaterki jego zawsze niemal doliczają się lat czterdziestu, dowcipne pióro kobiece, kryjące się pod pseudonimem wice-hrabiego de Launay stanęło w obronie tezy, tłómacząc, iż obyczaj francuski usprawiedliwia zapóźnione wizerunki romansopisarza. Panny idą za męża za najbogatszego konkurenta, pragnąc tylko majątku zabezpieczającego im świetne i zbytkowne życie. Dopiero gdy młodość uleci i wesołość jej zgaśnie, niejedna widzi, iż się oszukała w wyborze, a wtedy sponiewierane i pominięte niegdyś serce budzi się, aby zbłądzić i obłąkać się... zapóźno. Ztąd heroiny smutnych przygód doliczają się czwartego krzyżyka.

Ale zbyt długo rozszerzyliśmy się nad różnymi typami niewieściami, wplecionymi w życie Balzaka. Ostatecznie jedyną kobietą, którą prawdziwą ukochał miłością była rodaczka nasza, Ewa z Rzewuskich Hańska. I znów początek tej przyjaźni nosi cechę literacką. Autor rad uwagom swej arystokratycznej czytelniczki, która nie sprzeniewierzyła się rodowemu Rzewuskich rozumowi, zrazu ocenia tylko wdzięk jej rozmowy i trafność sądu i zdania; zczasem przywiązuje się do niej i do całego jej domu, szuka sposobności spotykania się, częstą korespondencją wypełnia dni rozłączenia. A kiedy po latach wybije dla niej godzina wdowieństwa, śpieszy do Petersburga, i tam, jakby na zawołanie, kilkunastoletnia przyjaźń nagle przekształca się w miłość płomienistą, która chyba zrazu była ciężarem dla jej przedmiotu, znać bowiem u pani Hańskiej pewne zakłopotanie, ociąganie przyrzeczonych ślubów, odraczanie terminu, w którym swe nieznanne nazwisko na sławne imię Balzaka zamieni. Smutne było przeznaczenie tego człowieka. Przez całe życie porał się z biedą i długami; wyszedł z nich, gdy mu już sił nie stało, aby używać odzyskanej swobody i pozyskanej niezależności. Tak samo wiecznie tęsknił za życiem rodzinnym i szczęściem domowym, aby ich zakosztować po raz pierwszy w trzech ostatnich miesiącach życia.

Długoletnia, nad siły ludzkie, praca, a w końcu kilka razy powtarzające się uciążliwe na Ukrainie wycieczki, w najsrozszej zimowej porę, przyspieszyły koniec tego bujnego i znojnego życia. Sławiono raz wobec Pitta długowieczność Fontenelle'a który stu lat dożył: — Sto lat! — krzyknął Pitt — takich sto lat byłbym w dwie godziny schłonał i przeżył. — Nie ulega wątpliwości iż myśl trawi i praca wyczerpuje, uczucie zaś, nawet gdy szczęśliwe, w pewnych razach siłą wzruszenia dobija.....

W uroczej Rzewuskich siedzibie, w ukraińskiej Wierzchowni, przepędził francuzki powieściopisarz ostatnie lata swego życia, nakrótka tylko odrywając się od swej ukochanej. Nie śmiał teraz jej dawnych przypominać obietnic, odkąd już tylko przy nim grała rolę siostry miłosierdzia: „Alboż mi się jeszcze godzi czyjekolwiek losy sprzęgać z mojem steranem życiem?“ W tem przelotne polepszenie zdrowia znagliło go do powrotu, dla własnych interesów, do Paryża. Zabierał się tedy z Wierzchowni smutny i samotny, jak przez całe życie. Ulitowała się nad nim nareszcie pani Hańska i oświadczyła mu, że go samego nie puści, że towarzyszyć mu będzie w dalekiej drodze.... żona. Jakoż udano się niezwłocznie do Berdyczowa, gdzie na dniu 14 marca 1850 r. niemłode stadło na ślubnym stanęło kobiercu, aby następnie razem do Paryża wyruszyć. Balzac stał u szczytu szczęścia i sławy. Donosi siostrze, iż pojął klejnot jedyny w Polsce, perłę starego Rzewuskich domu. W innym liście do pani Carraud wspomina, iż jeżeli nie miał ani szczęśliwej młodości ani kwitnącej wiosny w życiu, teraz spodziewa się najświetniejszego lata, najmilszej jesieni. Jesieni! tej dla niego już być nie miało. Na tę już sił ni życia nie stało. Ciężka podróż po roztopach wiosennych nie poprawiła zdrowia pięćdziesięcioletniego oblubińca. Przybył do przysposobionego z taką miłością i zbytkiem domu, straciwszy zdolność kosztowania z pełnej czary szczęścia. Trzy jeszcze miesiące powolnie trwał konanie. Balzac nie zdawał sobie sprawy z nadchodzącego końca. Czując się pewnego dnia słabszym, zagadnął lekarza ile mu czasu zostawia, boć musi dzieło swe uzupełnić, raz jeszcze odezwać się do publiczności, napisać literacki testament.... Alboż ma jeszcze przed sobą sześć miesięcy, sześć tygodni, sześć dni? Milczenie lekarza potęgowało gorączkową ciekawość chorego. Gdy nareszcie zakłopotany doktor zdobył się na odpowiedź i nieśmiało wspominał, że lepiej od razu zabrać się do spisania ostatniej woli i życzeń, ponieważ nikt pewnym jutra nie jest, Balzac krzyknął rozpacznie: — „A więc nie mam jak sześć godzin życia przed sobą!“ — i opadł bezsilny na poduszkę. Nazajutrz, 20 sierpnia 1850 r. umarł, w połowie tego wieku, którego był niemiłosiernym badaczem i fotografem.

Historia XIX stulecia łatwiej od innych da się odtworzyć zapomocą mnóstwa powieści odzwierciedlających stosunki, obyczaje i pojęcia. Oczywiście, dzieło Balzaka i rozpadająca się na różnorodny cykl poszczególnych romansów „Ludzka Komedia“, posłuży za kopalnię niewyczerpaną dla psychologa przyszłości. Ale czy wypadnie bezwzględnie przyjąć obraz społeczny wychylający się z tych tomów? Nie mniemamy. Każdy wyższy talent zwykł się upajać świadomością swej siły, i posuwać się do najskrajniejszych ostateczności w obranym przez się kierunku. Któż z nas sromotne powieści Zoli kiedykolwiek weźmie za przeciętną społecznych stosunków u schyłku XIX stulecia? Podobnie niepodobna przyznawać Balzakowi ogólnej prawdy wizerunków przynoszących mało zaszczytu jego epoce, a które, niestety! bodaj więcej wywołały naśladowania, aniżeli były kopiami wziętymi z życia. Stworzyły stosunki, które malowały, i ta-to jest wielka odpowiedzialność powieściopisarzy, iż zbyt często kształtują społeczność na obraz i podobieństwo swoje, daleko bardziej, aniżeliby utarte i znane w swą romansową tkanę wciągali wzory. Przyznajemy, iż życie Balzaka lepiej nam się podoba od jego dzieła, człowiek bardziej nam się podoba od jego dzieła, człowiek bardziej poціąga od nieco zwietrzałych dziś twórców, a rozczarowanie snujące ujemne tylko ludzkości typy i czyny zadziwia w mężu, który posiadał przyjaźń

szlachetnych i umiał sobie zjednać serce kilku istot wystarczających na pogodzenie z życiem i z rodzajem ludzkim.

M.

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

— Przed panem nie mamy tajemnic, proszę, przeczytaj głośno.

Tadeusz rozłożył papier i drżącym ze wzruszenia głosem zaczął czytać:

Wartość Rębowa 160 tysięcy.

Długi:

Towarzystwo kredytowe ziemskie 75 tysięcy

Bank hipoteczny 20

Wszystkie inne długi 25

Razem 120 tysięcy — zostaje na Rębowie czterdzieści tysięcy.

Tadeusz skończył, a marszałek zabrał głos, mówiąc szybko, nerwowo:

— Kanarek wykupił wszystkie wexle i żąda, aby je zapłacić natychmiast, lub wystawia na licytację Rębów. Można by jeszcze pożyczyc dwadzieścia tysięcy i spłacić Kanarka, lecz zapytuje się was i żadam stanowczej decyzji: Czy mając kapitału czterdzieści tysięcy na Rębowie, można się na nim utrzymać?

— Drogi ojcze — rzekła cicho Julia — nie wiedziałam o banku, a co do drobnych długów sądziłam, że nie przechodzą dziesięciu tysięcy.

— Miałem was straszyć, przerażać, niepokoić, odbierać sen i apetyt? Nędznikiem pastwiącym się nad żoną i córką nie jestem — odpowiedział z siłą przekonania.

— A więc? — spytało chłodno dziewczę.

— Czekam na waszą odpowiedź.

Na twarzy marszałkowej zakwitły dwie czerwone plamy; patrzyła na męża błyszczącymi oczyma.

— Raczej my pragniemy się dowiedzieć: co zamysłał i co postanawiasz? — rzekła.

— Ekonomia gospodarcza uczy nas, że niepodobna się utrzymać na majątku, gdy się posiada na nim zaledwo czwartą część wartości. Dziś mamy czterdzieści tysięcy, za rok będziemy mieli trzydzieści pięć, a za dziesięć nie. Ostatnia to chwila, w której można i należy Rębów sprzedać. Dziś są kupcy, jutro może ich nie być. Czyż warto męczyć się i dręczyć, ciężko pracować, aby przyspieszonym krokiem iść do ruiny? Ratujmy, co się da.

— Kto jest kupcem? — spytała sucho Julia.

— Widomym — Kanarek.

— I Kanarkowi ojciec odważy się sprzedać swój rodzinny kawał ziemi!

— Moje dziecko nie exaltuj się i nie przybieraj tonu sędziego względem ojca. Oświadczyłem stanowczo, że żydowi nie sprzedam z samego patryotyzmu. Zpoza Kanarka wygląda pan Jan.

— Stańczyk, z którym ojciec piętnaście lat walczył.

— O zasady, lecz cóż mają zasady, z kupnem, lub sprzedażą majątku? Ten bierze, kto daje najwięcej.

— Z majątkiem zabierze wszystkie wpływowe stanowiska po ojcu.

— Znajdę sobie inne pole działania — odparł pan Stanisław, spokojny o swą wielkość.

— I nie żal będzie ojcu?

— Moje dziecko, coż żal wobec fatum pomoże? Byle w kraju, byle być użytecznym ojczyźnie: mniejsza o miejsce i siedzibę.

— A więc niema ratunku — spytała wstrząsającym nerwy głosem.

— Niema — rzekł spokojnie, jak wyrocznia, ojciec.

— Wypędzą nas! — zawołała dziko, zerwała się i padła zemdlna na fotel.

— Matka i Tadeusz rzucili się ku niej z pomocą. Ojciec podbiegł po wodę. Za chwilę spokojny oddech i rumieniec na twarz dziewczęcia wróciły.

— Oto do czego prowadzą wasze idealistyczne mrzonki — szeptał marszałek ze źle ukrytym gniewem. — Wierzyła, że uratuje Rębów, przywiązała się do tej myśli, zżyła się z nią; teraz cierpi, gdy ją wiara zawiodła. Opaliła się i szerniała, zdenerwowała się zdziechała, i cóż zrobiła? Przynajmniej pod tym względem cieszę się, że przyszło do katastrofy, bo tym sposobem usunę warsztat spod nóg dziewczyny, przy którym się zabijała...

Nie czekając na odpowiedź, a raczej bojąc się odpowiedzi przychozącej do przytomności córki, wyszedł.

— Jeszcze jednego upokorzenia: leż córki, zażądano odemnie — zawołał w swoim pokoju. — Czy gorące wydobyły się z jego oczu, płynąc po rozpalonych policzkach. — Są ludzie — mówił dalej — którym nie wolno zapragnąć dla siebie. Nawet miłość dziecka tłumić muszą go własnymi rękami. — Ukrył twarz w dlonie i długo w niemej boleści przesiedział. Raz tylko slychać było wyraźniejszy szept:

— Panie, odwróć odemnie ten kielich goryczy!

Na dniu serca zaczęło się coś budzić, w mózgu wyradzały się zawiązki myśli, podobne do wyrzutów sumienia, lecz je w zarodzie zdusił.

Stało się: sprzedaż Rębowa została zdecydowaną. Jako jawny nabywca wystąpił pan Jan. Majątek kupował tanio, a z nim spodziewał się odziedziczyć wszystkie godności po panu Stanisławie.

— Rębów za lat pięć — spowiadał się przed samym sobą — będzie wart dwakroć stotysięcy, godności przychodzą darmo. Jednym zamachem zdobywam serca braci szlachty i uznanie okolicy. Tak się robią interessa, a zarazem służy się ucziwie krajowi... — Pan Jan był w wybornym humorze. Kupno Rębowa zaokrągliło jego posiadłości i robiło go na całe dwa powiaty potentatem. Wiadomości odbierane ze Lwowa od syna i przyjaciół napelniały go rozkoszą i dumą.

Listy hrabiego Połackiego zrobiły jaknajlepsze wrażenie. Namiestnik przyjął Adama uprzejmie. Nazajutrz posłał mu zaproszenie na pierwszy raut, dany litylko dla arystokracji. Do końskiego kasyna przyjęto go po pierwszym balotowaniu. Salony historycznych nazwisk odrazu się dla niego otwarły, pani Helena odbierała listy od przyjaciółek, że syn jej ogólnie się podoba: jest dobrze ułożony, przystojny, zgrabnie tańczy, dobry ma akcent. Widywano go co tydzień w katedrze, i to mu zjednało łaski dam starszych...

— Być młodym, przystojnym i pobożnym w czasach zepsucia i cynizmu, obojętności i lekceważenia wiary: to bardzo wiele znaczy — dodawały.

— Chłopak sprytniejszy, niż sądziłem — zdecydował pan Jan, słuchając wyjątków z listów czytanych przez żonę — Już drugi raz upokarza mnie swoją zręcznością. Niech całe życie upokarza — dodał rozpromieniony.

Zapiszę w tabuli Rębów na jego imię i zawiozę mu prezent... — A tobyś palnął głupstwo! Rębowski po sprzedaży wyniosą się z pewnością do Lwowa; żona mówi, że dziewczyna bardzo przystojna... Gdyby miał Rębów oczyszczony z długów, urządzony, któżby mu przeszkodził przyjechać do niego z Julką? Nie przypuszczam, aby był tak głupi; lecz dyabeł nie śpi, stary Rębosz sprytny, dziewczyna zręczna, chłopak słaby. Sam się do tego przyznaje.

We dworze rębowskim zapanowało ogólne znużenie i apatya. Julia przestała się zajmować rolnictwem; marszałkowa przesiadywała w swoim pokoju godzinami, płacząc cicho; Świdorski tarł czoło, rozkładał ręce i wzruszał rozpaczliwie ramionami, a Walenty, z zemsty nad przyszłym dziecidcem, kosił koniczynę i zwoził ją furami dla inwentarza. Gryzio struty był i zgnębiony, lecz

wobec ludzi miną nadrabiał. Tadeusz przychodził codziennie piechotą z miasteczka, a późno w noc wracał.

— Pięknieśmy marzyli, srodze nas zbudzono — mówiła dziewczyna. — Moja zemsta, pańska nagroda rozwiały się, jak mgły. Co się z nami stanie, gdzie się podziejemy? Może zamieszkamy w Bochni lub Starym Sączu, razem ze zbankrutowaną szlachtą, na dewocyi i emeryturze.

— Tak źle nie będzie — pocieszał ją Tadeusz — Oile wysondować mogłem, marszałek ma zamiar osiąść we Lwowie.

— Chwała Bogu! przynajmniej tam będę mogła pracować na kawałek chleba, ciężarem w domu nie będę. Pana mi żal serdecznie. Przykuty do miejsca, zostaniesz z nowym zwierzechnikiem, jego brutalnością, butą dorobkiewicza i cynizmem nowo-kreowanego pana i stańczyka.

— Będę znosił, ile mi godność pozwoli — bronił się i walczył, ile sił starczy.

— Wielkiego trzeba tych sił zasobu, lecz przede wszystkim cierpliwości. Nie zapomnisz pan o nas?

— Będę oszczędzał, aby mieć za co każde święta przepędzać w towarzystwie pań — odpowiedział wzruszony.

— To dobrze, dziękuję panu. Zanim przyjedziesz, będziesz odbierał listy częste i długie. Odległość nie wpłynie na ochłodzenie naszej przyjaźni. Jak to dobrze tak mało mieć prawdziwych przyjaciół! Gdybym wiedziała o bliźkiej ruinie nie sprzedawałabym moich cacek i nie zastawiała broszy. Cóż teraz powiem rodzicom, chcąc uniknąć łez mamy i wybuchów ojca?

— Summę włożoną w gospodarstwo przy kontrakcie odebrać lub fornalki, pługi, brony sprzedać — radził Tadeusz.

— Nie chciałabym z ojcem wchodzić w żadne sprawy tego rodzaju. Pan Jan posądziłby mnie o spekulacyę na porękawicze.

Na tem urwała się rozmowa. Tadeusz nie należał, lecz nazajutrz rano najął konie i kazał się wieźć do Wilczyc.

Pan Jan stał w oknie, kiedy lichy wózek zaprzężony w małe koniki zajechał. Obraziło go, że jakaś nieznama figurka śmiała tak mizernymi kołmi pchać się przed drzwi pałacu.

Za chwilę lokaj oznajmił sekretarza rady powiatowej.

— Zadzwoń, gdy będę chciał, abys go wpuścił, niech zaczeka — odpowiedział ostro pan Jan i odwrócił się. Lokaj znikł za kotarą.

— Gdy sobie odpocznie w przedpokoju, na drugi raz konie zostawi przed bramą. Nie znoś tego rodzaju bratania się z demokratyczną hołtą. Pewno przyjechał z czołobitnością do przyszłego swego pana. Oni wszyscy tacy... — Pochlebiała mu czołobitność demokracji — i zadzwonił.

— Pan sekretarz myśląc, że jaśnie pan śpi, poszedł do ogrodu — odpowiedział lokaj.

— Należało mu wytłómaczyć.

— Nie żądał — odparł służący i na skinienie pana Jana wyszedł.

— Może i lepiej, nie przyjmę go w pałacu, lecz sprawę załatwię w ogrodzie — wdział kapelusz i wyszedł.

W kasztanowej alei zamyślony i roztargniony przechadzał się Tadeusz.

— Witam — zbudził go ostry głos pana Jana. Sekretarz pochwycił za kapelusz, pan Jan posunął w górę rękę, lecz się zatrzymał w połowie — odpowiadając na ukłon kiwnięciem głowy. Na twarz Tadeusza wystąpiły rumieńce. Syn zamożnej i szanowanej rodziny w Królestwie, mający wysokie pojęcie o godności człowieka, nie znosił upokorzeń.

— Przepraszam za najście — odezwał się szybko — lecz powinno mnie usprawiedliwiać to, że nie przychodzę w swojej sprawie.

— W poselstwie?

— Również nie, w sprawie osoby trzeciej bez poselstwa. Panna Julia Rębowska...

— W sprawie panny Julii.

— Panna Julia Rębowska w ostatnich czasach prowadziła gospodarstwo w Rębowie.

— Słyszałem, pracowała wytrwale i energicznie. Dziwne, że dotąd żaden z naszych niedołę-

nych szlachciców nie starał się o jej rękę! Miałby dzielną żonę.

Tadeusz nie odpowiedział, dając tym sposobem uczuć panu Janowi niewłaściwość odezwania się.

— Panna Julia — zaczął ponownie sekretarz — w ostatnich czasach porobiła wkłady. A że nie miała gotówki posprzedawała i pozostawiała swoje biżuterie.

— Dzielnie i, jak na córkę Rębowskiego, znakomicie.

— Zachodzi kwestya, którą pan raczysz rozwiązać.

To „pan” samo suche pan, bez żadnego dodatku ukłóło pana Jana. Żałował, w tej chwili, że nie jest hrabią, lub przynajmniej marszałkiem. A za butę sekretarza postanowił go ukarać.

— Kontrakt kupna Rębowa — mówił dalej Tadeusz — jeszcze nie jest podpisany.

— Przedugodne punkta już omówione — pochwycił pan Jan.

— Inwentarz nie jest spisany.

— Lecz cały objęty w summie kupna.

— Z wyjątkiem wkładów porobionych przez osobę trzecią.

— Nie było mowy o żadnych wyjątkach i osobach trzecich.

— Marszałek nie wie o sprzedaniu przez córkę biżuterii.

— Nadto są ciężkie czasy, abym i ja tą kwestyą się zajmował. I tak Rębowski powinien być mi wdzięcznym, że nie dopuścił żyda do kupna jego majątku.

— Patriotyizm pański kosztuje Rębowskiego pięć tysięcy. Kanarek daje za Rębów sto sześćdziesiąt pięć. Nie ulega również wątpliwości, że Kanarek pozwoliłby córce wycofać wkłady, mimo ciężkich czasów.

— Jaśnie pani prosi jaśnie pana na śniadanie — wygłosił lokaj, stając w rogu alei.

— Zona czeka z herbatą — rzekł wyniośle pan Jan. Żegnam pana.

— Żegnam — odpowiedział Tadeusz.

Pan Jan zniknął w drzwiach pałacu. Tadeusz wrócił do koni, siadł na bryczkę i odjechał.

— Ten przeklęty demokracja mógłby zniszczyć cały dobry wpływ, jaki pozyskałem wśród szlachty kupnem Rębowa. Gotowi jeszcze nie wybrać mnie marszałkiem. Czekać nauczę ja cię rozum, gdy zostanę twoim przełożonym! Czego ty się mięszasz do cudzych spraw, zamiast służyć pilnować? Kto ci pozwolił wyjeżdżać w biurowych godzinach? Co za niesubordynacja, co za lekceważenie władzy! I chcieć tu, aby Polacy sami umieli się rządzić?... Bat i tylko bat potrafi ich w karbach posłuszeństwa utrzymać... Nie pożałuję ci go — poczekaj. — Oburzony przyszły marszałek groził, lecz wykrzykniki i groźby nie zdolały uspokoić jego rozdrażnienia.

Żał mi wyrzucać przez okno parę tysięcy guldenów. Co mnie może obchodzić, że szlachcianka sprzedała kolczyki, zastawiła broszkę?... Ale tromtadrata rozkrzyczy w powiecie, że syn zdradził dziewczynę, a ojciec ją obdarł...

Wyjął z kasy dwa papierki po tysiąc złotych reńskich, położył je na stole, siadł, gwałtownie pochwycił pióro i nerwowo napisał:

„Wielmożny Panie!

Za wkłady poczynione przez pannę Rębowską, załączam dwa tysiące.

Z poważaniem Jan.”

Pieniądze włożył do listu, zaadresował, przywołał służącego kazał mu konno pogalopować do miasteczka i list z pieniędzmi oddać sekretarzowi rady powiatowej.

— Jeżeli dać, to prędko. Jeżeli zamknąć gębę, to zaraz. Kto wie, czy pan sekretarz w tej chwili nie obrabia mnie w gronie przyjaciół, porównując cynizm mój z wielkodusznością Kanarka... Pierwszy raz i ostatni wydałem dla popularności dwa tysiące. — Ciężko oddychał, gniewnie rozszarżając nozdrza.

— Nie rozpaczaj — pocieszał się — bo i tak na Rębowie zarobiłeś dwadzieścia do trzydziestu tysięcy. Nie rozpaczaj — zawołał, unosząc się — ale mnie irytuje, że wśród nas, w nasze sprawy, wchodzą jakieś emigranty, radykały, demokracja,

dyktują nam prawa, uczą honoru, obowiązków... Tego już nadto. Porachujemy się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN ROWLAND STANLEY.

(Dalszy ciąg).

Cchiwość drobnych władców tej części Afryki, podsycana nędzą, utrudniała wielce pochód Karawana, przybывая do włości murzyńskich, musiała kupować wodę błotnistych studzienek, nad to zmęczeni, dręczeni, okrutnym pragnieniem podróżni, musieli czekać, aż trzody miejscowe napojone zostaną. Wtedy dopiero resztką, często niedostateczną dla tak znacznej liczby ludzi, dostawała się spragnionym ustom, a nie chcąc wywoływać gniewu miejscowych królików, trzeba było oglądanie niesionych towarów, trzeba było w dodatku uwzględnić ich gusta. Obok tego krajowcy byli wrogo usposobieni dla białego człowieka — wogóle dla każdego obcego — i nierządkiem staczano formalne bitwy, tracąc też ludzi przez zbiegowstwo, aż dzień 26 Lutego przyniósł wielką nagrodę za trudy poniesione.

Na sześćset stóp poniżej wzgórzystego walu, którym postępowano, odkrył Stanley jezioro Nyanza, Victoria Nyanza — jak je sam nazwał — przeogromne zwierciadło wody, wyglądające posępnie wśród dzikich, stromo-nagich skał, które, odbijając się w jeziorze, dają wodom jego barwę brunatno-szarą. Dla Stanleya był to przecież zdobyty niemal cel podróży. Rozbito tu zaraz obóz, na szczęście wśród ludności łagodniejszego usposobienia i szalupę czempredzej złożono; ale po tygodniu tych przygotowań do żeglugi po wodach jeziora okazało się, że nikt z drużyny karawanowej nie chce należeć do wyprawy. *Lady Alicya* była przecież dobrym, wytrzymałym statkiem, na którego pomost można było śmiało postawić nogę; ale wedle otrzymanych wiadomości, wody jeziora nie były spokojne: panowały tu często silne wichry i burze, przytem ludzie z krajin bezwodnych bali się tej szklistej powierzchni, której dno było zakryte przed okiem i Stanley musiał żądać posłuszeństwa w imię władzy swojej nad nimi. Europejskich swych towarzyszy: Franka Poccocka i Fryderyka Bakera zostawił w obozie; sam zaś, zabrawszy dość znaczny ładunek barwnych tkanin, paciorków i tym podobnych przedmiotów, obok zapasów pożywienia, puścił się na nieznaną wodę w towarzystwie dziesięciu swoich ludzi, mających teraz pełnić służbę majtków a wszystkie twarze wyglądały posępnie, wyrażając jawną niechęć do przedsięwzięcia, zwłaszcza, że powietrze było nocami bardzo chłodne, trzciny nadbrzeżne ukrywały miliony mustyków, a z zarosłych niemi mokradeł, szczególnie w miejscach dopływu strumieni, wpadających do jeziora, rozchodziły się zabójcze, febrę roznoszące wyziewy, tem szkodliwsze, że opłymano wciąż brzegi.

Trwało to trzy tygodnie, a nietylko warunki przyrodzone czyniły żeglugę przykrą. Mieszkańcy wybrzeży zostali zaniepokojeni ukazaniem się nieznanego statku i białego człowieka; razporaz ukazywały się oddziały krajowców, uzbrojone w dziryty, łuki i strzały, okazując, że nie dozwolą wylądowania na zajmowanym brzegu. Oprócz tego, mnóstwo pirogów wypływało z zatok i zatoczek jeziora, niosąc dziko i podejrziwie wyglądające postacie, które nieraz podsuwały się pod samą szalupę, otaczały ją, podpatrując jej żeglary. Byli to korsarze tych wód, czyhający na możliwy wypadek burzy, lub zaniedbanie straży nocnej, aby złupić statek białego człowieka. To co niesie on w głąb Afryki, od czasu Portugal-skich jeszcze osad, uprawnia tę nienawiść obcego, z którą się łączy zwykle u dzikiego człowieka cchiwość na zdobycę i raz też w pobliżu osad Wuwuma, Stanley tak został obskoczony rojem łódek,

niosących czerń dziką, że musiał strzelać, aby się wydobyć z pomiędzy niebezpiecznego mrowia, które wkrótce byłoby poczęło wdrapywać się na szalupę. Dawano chytrze nurka, aby się ukazał dopiero u rampy statku, ale gdy Stanley, zaczajając się jak na dzikie kaczkę, zabił kllku, cofnięto się z dzikimi, przyciągniętymi krzykami.

Wkrótce przecież nastąpiła zmiana. Wybrzeża krainy Uganda, w której panował potężny cesarz Mtesa, przyjęły białego człowieka z tą gościnnością rozrzutną, która świadczyła, nietylko o ich dobrej woli, ale i o płodności, zamożności kraju. Gdy statek Stanleya stanął na kotwicy, sprowadzano mu barany, kozy, woły nawet, dzieje mleka, dzbanki napoju zwanego „maramba“, który jest pewnego rodzaju piwem, a obok tego banany i owoce rozmaite. Wybrzeża były też malowniczo piękne. Od poziomu wody do szczytu wzgórz zieloność najbujniejsza, poczynając od kiściastej trzciny, do fig, tamarynd, bananów, pokrytych złocistym owocem. Mieszają się to, przeplatają, tworząc najpiękniejsze efekta barw i kształtów, przy coraz więcej urozmaiconych liniach wybrzeża, ukazujących w przerwach wzgórz perspektywę dolin z wioskami w ich głębi. Stanley nazwał te przytoki kraju Uganda kawałkiem raj, oblany falami zaczarowanego jeziora.

Cesarz Mtesa wysłał naprzeciw niego pięć łodzi, na których znajdowali się pierwsi dostojnicy jego państwa. Dany im był rozkaz opatrzenia przybyszów we wszystko, czego mogło im być potrzeba i przywiezienia ich przed oblicze jego dostojne do Usawary, miejsca, gdzie przebywał na łowach. *Lady Alicya* była jeszcze na dwie mile od brzegu, a już wszystkie wzgórza okoliczne pokryły się gęsto zbitym tłumem widzów, brzegiem zaś jeziora, na łagodnym jego stoku parę tysięcy żołnierzy, ubranych podobnie, jak wojsko króla Zanzibaru, stało dwoma szeregami. Stanley sądził, że ta pompa niespodziewana zwiastuje mu bliskość władcy tych krain. Ale nie: wysłańcy jego objaśnili Białego Człowieka, że gość przybyszający ze stron tak odległych, aby odwiedzić ich monarchę, nie powinien stawać przed nim zmęczony podróżą, i on, cesarz Mtesa, nie chce widzieć oblicza człowieka białego wychudzonego głodem. Ma on zatem używać wczasu i wygody przez dni dziewięć, i dopiero potem ukazać się w jego stolicy.

Po tej przemowie ambasador wspianiałego władcy Uganda przedstawił gościowi czternaście tuczonych wołów, ośm kóz, trzy tuziny różnego drobiu, sto bananów, cztery kosze patatów, pięćset zielonych kłosów kukurydzy, kosz ryżu, dwadzieścia dzbanów wina z bananów.

Było tam jeszcze dwadzieścia jaj kurzych!

Gdy Stanley wraz z załogą odbył kwarantannę dziewięciu dni używania tych wspianiałych darów, gdy wykapał się i wystroił możliwie wraz z całym orszakiem, który obowiązywało to samo, przybyło po niego dwóch posłów, w długich, białych sukniach, przepasanych szerokimi pasami, w czerwonych lub brązowych płaszczach, spadających do ziemi, i spiętych malowniczo na prawem ramieniu. Stanley, poprzedzany przez nich, miał za sobą swój orszak uzbrojony w karabinki. Przebyto w ten sposób obszerne płaskowzgórza, zabudowane gęsto chatami konicznego kształtu, zaledwie widzialnymi wśród bujnej zieleni fig, bananów i gęstych opłotków trzciny, które spuszczały się w dół po łagodnym stoku wzgórz. Wszyscy mieszkańcy wyszli z chat, ciekawie spoglądając na przybyszów, a ich białe szaty i płaszcze, udrapowane bardzo efektownie, tworzyły wspianiałą dekorację obrazu, dziwnie oryginalnego dla oczu Europejczyka. Odzywano się do przewodców orszaku, powtarzano ich odpowiedzi tym w tyle, którzy ich słyszeć nie mogli, aż naraz stała się cisza najwyższa. Uderzono w bębny na znak, że mocarz tej krainy zasiadł na stolicy swego pałacu i wkrótce oblicze jego będzie widzialnym. Podwoje rezydencji jego otwarły się i cały ten tłum ruszył tam za orszakiem Białego Człowieka, którego wejście w dziedziniec pałacy powitała muzyka, jakiej nie słyszał on jeszcze nigdy. Orszak Mtesy mieści zwykle obok dwóch chorążych, dworzan, paziów, karłów, albinosów, tancerzy—czterdziestu doboszy, dwudzie-

stu trębaczy, dziesięciu gitarzystów, i wszystko to ozwalo się, każdy na swoim instrumencie, i jeżeli chciano, aby Europejczyk zrozumiał, co to jest wielkość cesarza Mtesa—skutek bynajmniej nie zawiódł, zwłaszcza gdy do nadwornej tej muzyki dołączyły się jeszcze piszczałki, bębni, flety kapeli wojskowej a gwardya cesarska sprezentowała przed Stanleyem broń. Wkrótce, gdy na dziedziniec tłoczyła się cała zebrana publiczność, Stanley ujrzał czarnego cesarza, stojącego w progu pałacowej sali. Podał on gościowi rękę poeuropejsku i poprowadził go do sali tronowej, długiej na osmnaście, szerokiej na cztery do pięciu metrów. Podzielona jest ona na trzy części dwoma rzędami filarów. Po lewej i prawej ręce mieszczą się dworzanie i urzędnicy, w środku znajduje się tylko tron, to jest zwykłe krzesło z poręczami, wybite skórą. Stał on na lamparnej skórze, pod którą rozpościerał się smyrneński kobierzec. Na skórze leżała jeszcze poduszka, i na tej spoczęły nogi Mtesy, gdy zasiadł na krzesle, wskazując Stanleyowi miejsce obok siebie na taburecie żelaznym. Wtedy już każdy z przytomnych lokował się, jak mógł i chciał: siadał na rogożach, na gołej ziemi, w kuczki. U każdego filaru zostały tylko stojące postacie gwardzistów w czerwonych płaszczach, czarnych bluzach i białych spodniach z czerwonymi lampasami. Na głowach mieli białe zawoje, w rękę karabiny.

U nóg cesarza klęczał wielki wezyr i dwóch sekretarzy, przy stopach leżał wielki ząb sioniowy, starannie oszlifowany i stały dwie skrzyneczki sandałowe z fetyszami. Po obu stronach tronu dwóch gwardzistów przybocznych trzymało dzidy, jeden żelazną, drugi miedzianą. Mtesa, może trzydziestoletni, przystojny człowiek, miał na ogolonej głowie fez, nogi były białe, ale leżące na poduszce tureckie pantofle okazywały, że je wzuwa, skoro wstaje. W prawej ręce trzymał złoty topór arabski, lewą oparł o kolano, przypominając postawę Ramzesa Tebańskiego. Oczy wielkie, ogniste, objęły spojrzeniem całą salę, obiegając ją wzrokiem bystrym. Fiziognomia czarnego monarchy przedstawiała inteligentnego, ale nerwego i wrażliwego człowieka, oczy rozszerzały się czasem nagle, a wtedy były groźne, znać było, że może wystrzelić z nich dziki płomień namiętnej passji, przyczem grube usta zaciskały się silnie. Takim był, gdy obrzucił wzrokiem zebranych, czyniąc jakoby monarszy przegląd swego dworu; ale wkrótce groźne to oblicze złagodniało i tłum pokorny rozweselił się, zaśmiał, a Mtesa zwracał się wtedy do Stanleya i z powagą, ale łaskawie, rozpytywał się o powody i cele jego podróży, bo człowiek ten, niepospolity wśród swego plemienia, a który w jego historii będzie się zwał wielkim, silnie się zajmuje cywilizacją Białych Ludzi i przyznaje się do tego, że ją chce szczepić swemu narodowi.

Po skończonym posłuchaniu Stanleya przyjmował posłów swego kolegi cesarza Mirambo, któremu miał chęć wydać wojnę i którego wysłańców traktował ostro, z góry. Potem syn jednego z okolicznych królików, świeżo zmarłego, składał mu o tem wiadomość i jakgdyby hołd lennika, który Mtesa przyjął z godnością monarszą. Złatwił następnie kilka spraw polityki wewnętrznej i zewnętrznej, przyjmował orszak wielkich dam swego państwa, krewnych swoich w rozmaitym stopniu, a które wszystkie były utrzymywane jego kosztem i używały takiego przywileju, młode i stare, że gdy zasiadły, Mtesa zeszedł do nich z tronu swego i wszystkie w kolei ucałował.

Wszystko to miało za cel ukazanie Białemu Człowiekowi, jak Mtesa potężny jest i jak umie sprawować rządy. Posłów Mirambo przetrzymano nawet czas jakiś, aby Stanley mógł ich oglądać, poznać stosunki i potęgę władcy kraju Uganda. Panował on już lat czternaście i podniósł wielce stopień uobyczenia, uspołecznienia swego narodu, a takie posłuchania u dworu, takie przyjmowanie posłów i rozsądzanie spraw, już ukazywały jakoby świtanie epoki królów Merovingów, epoki Piasta i Rzepichy.

Stanley widział jeszcze przegląd przybocznej straży królewskiej, przegląd licznego hufca Amazonów — silnych, nie czarnych, lecz raczej bruna-

tych tylko, dziewięć—uzbrojonych włuki i dziryty a posługujących się doskonale tą bronią, jak to wykazały, strzelając wobec Stanleya do wskazanego im celu i wyrzucając dziryty w oznaczonym kierunku. Mtesa ukazał się potem Stanleyowi w kole rodziny, wśród licznych grona małżonek swoich i dzieci, spożywających wesoło banany i mleko zsiadłe; ukazał mu się zajęty rozmaitemi wewnętrznymi sprawami państwa, zamysłony: jak naśladować uzbrojenia białych ludzi, jak budować takie jak oni statki, wozy, kuć oręże? Stanley uważa go za jeden z największych umysłów, jakie tu poznał, za jednego z takich ludzi, którzy tworzą historią świata. Gdyby Afryka miała kiedykolwiek Panteon, król Mtesa powinienby tam zajmować miejsce wielkiego władcy i cywilizatora.

(Dokończenie nastąpi)

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, d. 31 Marca 1889 r.

Marzec, zamęt w powietrzu i w głowach. — Co o tych głowach mówił niegdyś Tasso? — Ministerium i Izby. — Dwa wystąpienia polityczne. — Zdjęcie wyroku banicyi z ks. d'Aumale — Rozwiązanie Ligi Patryotycznej. — Dymissya prokuratora generalnego. — Sprawa Bulanżerowska. — Ostatnie dni karnawału i Środopocię. — Krachy finansowe i wesołość. — Bał maskowy dla dzieci. — Gospodarz, p. Cernuschi. — Nowa komedia P. Sardou'a: *Świekra*, w teatrze du Gymnase, a w Palais Royal *Moi przodkowie*, komedia P.P. Cheville'a i Deprégo. — Biarritz i spotkanie się Królowej Angielskiej z Regentką Hiszpańską. — Co o tem mówią zeicha. — Śmierć sławnego polityka angielskiego Jana Brighta. — Słódko o przyszłej wystawie paryżkiej.

W chwili, kiedy to piszę, okropny wichur huczy po bulwarach i ulicach Paryża. Mieliśmy burzliwy i niezdolny Luty, mamy burzliwszy Marzec... ale kiedy tu jest spokojnie w powietrzu i w głowach? .. kiedy? Wszak to nie dzisiaj dopiero zrobiono uwagę, że tutejszy klimat idzie w parze z narodem, czy naród z klimatem. Oto miałem potrzebę zajrzeć do *Jerozolimy Wyzwolonej* Torquata Tassa. Wyciągam z biblioteki jego *Opere e scritti* i oto, co znajduję w listach pisanych przez wielkiego wieszczę w 1570 r. do przyjaciół w Ferrarze:

Tasso przybył tu w owej epoce w orszaku, który otaczał kardynała d'Este, wysłanego w poselstwie na dwór Karola IX-o—a jak opiewają te listy,—wrażenia, jakie odebrał, niebyły wcale pochlebne. Mówi tam o nieprzyjemności, jaką mu sprawa zmienny, niestateczny klimat Paryża, *zgodny z usposobieniem jego mieszkańców*. Mgliście i przyćmione okolice miasta mają dlań rozpaczliwą jednostajność. Włoch, przyzwyczajony do jasnego i pogodnego nieba swojej ojczyzny, tęskni za niem i patrzy na wszystko ze smutkiem i zwątpieniem; zaledwie jakaś wieża kościoła zatrzyma na chwilę jego wzrok stęskniony, który szuka daremnie niezapomnianych arcydzieł sztuki rodzinnej Italii!

Jedno co go pociesza wśród szalonych i niestałych wichurów Paryża, którym wtórują, jakby chorągiewki na dachu, lekkie głowy Paryżanów—są to, niezliczone wiatraki, które ciągle poruszają zmienny powiew wiatru, i które tak wdzięcznie ożywiają wyżyny Montmartre, gdzie się gęsto rozsiadły.

Zniknęły dziś wiatraki z wysokości Montmartre; ale w głowach Paryżanów kręci się jak dawniej. Tak było przed trzystu laty, tak było przed sześciuset i tysiącem, i tak zostanie zapewne, póki Paryż będzie Paryżem... Pod koniec, już w ostatnich latach przeszłego wieku, zostało ich dwa lub trzy (wiatraków), i te,—były to raczej szynkownie i traktyernie, a nie młyny naprawdę. Zachowały skrzydła dla formy i dla uciechy Paryżanek, których ostatnią żądzą było zawsze, skoro się dostały na wierzchołek góry, aby można

usiąść na tych skrzydłach i pójść z wiatrami w zawody.

Co się tu dzieje w tych, wietrznych,—czy wiatrakowych—głowach! Dostyc zająrzeć do Izby Deputowanych, a nawet i do samego Senatu. Patres Conscripti, jak niegdyś ich poprzednicy w Rzymskim senacie, trzymając się oburącz krzesła, płyną z prądem wsteczności, jako rządowa officialna większość—i dziś gotowi na wszelkie repressye byleby ich nie wyrzucano z Luxemburskiego pałacu!

Rząd, to jest nowe ministerium, o którym mówiłem wam w ostatnim mym liście, pokazał swoje *Quos ego* w dwóch tak sobie sprzecznych kierunkach, na jakie popchnęły go wymagania i dążności, skryte i jawne, większości w Izbach.

Zniesiono więc raptem wyrok banicy przeciw księciu d'Aumale — i zniesiono tolerowane dotąd a nawet protegowane stowarzyszenie Ligi Patriotycznej. Dwa te akta komedyi, którą odgrywa w tej chwili nowe ministerium, złożone z ludzi, oddanych całkiem niby republikańskim zasadom, nie dowodzą bynajmniej wielkiej bystrości umysłu i wyższego poczucia politycznego.

Jakkolwiek odwołanie księcia-banity, może być uważane za czyn rzetelnej sprawiedliwości, nie można go jednak w dzisiejszych czasach uważać za akt mądrości politycznej wobec tylu niesprawiedliwości i nieprawości, jakich się dopuszczono od lat blisko dwudziestu.

To odwołanie wyjątkowe księcia d'Aumale'a z wygnania, które mu nie mogło zbyt ciężać na barach i sercu — jest aktem politycznym wątpliwym. Bo, jak powiada ich własne przysłowie: „Nie przywiążesz psa kielbasą” — pies zje kielbasę i pójdzie. Jeżeli książe d'Aumale był człowiekiem wcale niegroźnym dla Rzeczypospolitej, nie należało go skazywać na wygnanie; a jeżeli przeciwnie, trzeba się było lekąć jego wpływu, to obowiązkiem było zostawić go tam, gdzie go postawiła wola samego prawa. Aby ocenić postęp gabinetu w tym względzie i z punktu republikańskiego, dosyć jest przypomnieć to przyjęcie, jakie mu wyprawiono na posiedzeniu Akademii Francuskiej — wybór, jaki uczyniła natychmiast *akademia nauk moralnych i politycznych* — gdzie, wbrew zwyczajom tutejszym, ks. d'Aumale wybrany został na członka, nie podając się wcale na kandydata, i to jednogłośnie.

Co do drugiego aktu, to jest co do zniesienia Ligi Patriotycznej — aktu, którego następstwa mają i mogą mieć nieskończoną doniosłość, nietylko dla ministerium, ale nawet dla kraju, jest to przypomnienie najsmutniejszych wybryków absolutyzmu, przeciw którym tak wiele gardłowano ongi, z tych ław właśnie, na których siedzieli ci sami, wówczas jeszcze przewodzcy opozycji. Nietylko bowiem rozwiązano to stowarzyszenie, ale pociągnięto do odpowiedzialności oskarżonych Déroulé'a i sześciu jego współników o należenie do towarzystwa tajnego a co najmniej do nieupoważnionego przez rząd. Policja i sądy odbywają poszukiwania w biurach i mieszkaniach główniejszych członków ligi.

Wiadomo całemu światu, że ta liga, nietylko nie była stowarzyszeniem tajemnym, ale, niestety, z dachów wołała pod niebiosa, jakie ma cele i dążności i przyznawała się wręcz, że pragnie odzyskać utracone w r. 1871 prowincye. Nie o to więc chodziło rządowi; nie chodziło mu również o sławną ową depezę, wyrażającą ubolewanie nad losem przyjacielea zombardowanego pod Obokiem; utrzymywać, że ta śmieszna w gruncie odezwa promotorów ligi mogła sprowadzić deklaracją wojny ze strony Rosyi, jest to jeszcze śmieszniejsze, niż sama depeza hałaśliwego patrioty. Na tem przecież, jak dotąd, opiera się cała sprawa, mająca się rozpocząć przed sądem policji po prawczej we Wtorek, d. 2 Kwietnia.

Ale oto nagle p. Bouchez, prokurator generalny przy sądzie apellacyjnym paryżkim odmówił, jak powiadają, złożenia u łaski marszałkowskiej w Izbie Deputowanych oskarżenia przeciw Boulangerowi. Z oskarżeniem tem miało być połączone żądanie upoważnienia do ścigania członków izby trzymających z ex-generałem. Prokurator generalny zazwyczaj w rękach ministra sprawiedliwości jest

tylko narzędziem. Otóż p. Bouchez niem być nie chce¹⁾.

Ale prześwietna liga, zapisawszy na swym sztandarze odzyskanie Alzacy i Lotaryngii, była nadto przyjaciółką i współpracowniczką generała Boulanger'a, który, powoli, czy poniewoli, dla wielu ludzi jest uosobieniem żądzy odwetu. Chcąc więc dosięgnąć Boulanger'a, uderzono najpierw w ligę, jako w masę, na której opierał się generał. Poszukując w tekach i skrzynkach ligi, spodziewano się złapać ptaszka na uczynku. Czy złapano? zobaczymy! Obwinieni tymczasem powiadają, że rząd spuścił.

Rzeczy stają na tym punkcie, który przypomina sławny zamach stanu Ludwika Napoleona. Izby niesforne i niekonsekwentne wówczas, jak dzisiaj, w przestachu, oskarżały go najpierw o zamach i zdradę. Gotowano się do schwywania i zduszenia, Changarnier stał na czele i jemu miało być powierzone wykonanie; gdy nagle prezydent, ostrzeżony, przedził swych przeciwników i wiadomo na czem skończyła się cała ta sprawa. A więc „mądrej głowie, dość dwie słowie” tylko czy głowa mądra? w tem cały sęk. Jesteśmy na przełomie; dziś jutro szala może się przechylić, a następstwa są nieobliczone. Czekajmy!...

Tymczasem urzędowi i najgorętsi stronnicy rządu nie znaleźli jeszcze dotąd w kryminalnym kodeksie artykułu mogącego posłużyć im do zabicia bulanżyzmu i do uwięzienia jego przewodcy. Rząd silny, wsparty na większości, której interes i przychylność podtrzymuje go w kraju całym, łatwo może się oprzeć atakom burzliwej mniejszości i poczynać z nią sobie, jako ze zgrają łotrzyków. Ale rzecz jest daleko mniej łatwa wobec tak potężnego, tak regularnego, tak wzrastającego coraz ruchu, na jaki tu patrzymy w tej chwili.

Zniesiono sposób głosowania, tak zwany *scrutin de liste*, i rozwiązano Ligę Patriotyczną; a gdy dodamy do tego wzbronione podawanie jednej osoby do licznych kandydatur poselskich — rząd wyczerpuje w ten sposób wszystkie legalne środki obrony. Iść dalej, będzie niebezpieczną wyprawą, chyba, że się odnajdzie ów artykuł, o którym mówiłem wyżej.

Przypuśćmy nawet, że Boulanger stanie się niemożliwym do wyboru, że go skazają, na więzienie, banicyę. Wszystko to nie uczyni popularniejszym dzisiejszego stanu rzeczy. Zamach ten wyświadczy przysługę Monarchistom, Bonapartystom, słowem oponentom wszelakiej barwy, a nie Rzeczypospolitej.

Niepodobna jest, naturalnie, przypuszczać, aby te polityczne matactwa, pozostały bez żadnego wpływu na bieg życia Paryżanów. W tak zapalnych głowach, jakimi są ich głowy, wszystko staje się fermentem i zaburzeniem: to też ostatnie dni karnawału i środopocście, które przypadły tego roku na miesiąc Marzec, przeszły jakby niepostrzeżenie, w szaraczkę, bez galonów i blasku, bez wrzawy i bez natłoku, co tu jest rzeczą wcale wyjątkową. Przecież Paryżanin nie może wyrzec się swoich nawyknień nawet w wielkiej biedzie, bo tu się sprawdza to istotnie, że „choć bieda, to hoć!” Ostatnie też wieczory Tlustego Wtorku i Środopocścia, przypominały, dawniejsze wesołe zabawy. Na pewnych punktach bulwarów zagotowało się tumultem około godziny jedenastej w wieczór. Spaceruje tak zwanych *monomów*, po naszymu mówiąc „gęsiego”, *farandole* (jakby nasze koła mazurkowe), na błotem zachlasytanych trotoarach — zabawiły na chwilę, głupią ciekawością; ale więcej w tem wszystkim brutalstwa, aniżeli dowcipu, a dużo wesołości zagadkowej, bo krzykliwej i śmiejącej się, jakby z musu. Takie były charakterystyczne znamiona tych dwóch wyjątkowych tegorocznych nocy. Prawdzwie: prawowierny karnawał nie żyje; ten, co występuje dzisiaj, to intruz i fałszerz — i nie wesoły i głupi!

Ani jednego przebrania, ani jednej maski nie widzieliśmy, coby nas uderzyła świetnością lub

wdziękiem, zwykle ogromne fałszywe nosy, wąsy, brody dziwaczne, tak zwane *bi-bi* i okulary trójkolorowe, to jest wszelkie przybory tuzinkowe i zanie pieniądze, trzymały prym w tej ostatniej fali mętnych uciech Paryża. Był to dowód, żeśmy się mimowoli znaleźli wśród ostatniej i najniższej sfery społeczeństwa; ztąd nie przybyło karnawałowi, ani uciechy ani świetności; przeciwnie! Niema też czego żałować; bierz go licha! Bawiło to może nas kiedyś, za lat młodych; dziś z całego serca powiadam: „Bierz go licha!”

Czemu owo zubożenie przypisać? Może tym groźnym ruinom, które, jakby na pękającym lodzie Wisły, zarysowały się raptownie, na ogromnej tafli publicznych kredytów, wskutek szybko po sobie następujących krachów Kanału Panamskiego, Kantoru Eskontowego, Paryżkiego Towarzystwa Metalurgicznego i t. d. Żle tu pachnie koło nas! Zapewne; kraj jest bogaty; ale nie trzeba nadużywać tego bogactwa. A broń Boże, w stanie takim, w jakim dziś jesteśmy, gdy przyszło do jakiejś komplikacji zagranicznej, — zginiemy, jak rude myszy! Lepiej nie myśleć o tem.

(Dokończenie nastąpi.)

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **Boruta**, dramat Bronisława Grabowskiego, otrzymał muzykę, dorobioną przez p. Maszyńskiego, dyrektora *Lutni*.

— **Towarzystwo Ogrodnicze** ogłasza urządzenie wystawy ogrodniczej w roku przyszłym. Będzie ona połączona ze zjazdem owocoznawców.

— **Żywo Stanisława Staszycy**, przez Bolesława Limanowskiego, wyszedł we Lwowie wydany przez pożyteczne *Stowarzyszenie imienia Staszycy*.

— **Komisyja Zachęty do zwiedzania Krakowa** postanowiła nowe, poprawione i powiększone wydanie *Przewodnika po Krakowie* i *Przewodnika po Tatrach*. Postanowiono obok tego porozumieć się z p. Gielgudem z Londynu co do wydania w języku angielskim opisu Krakowa i Tatr. Zamierzone jest wydanie takiego opisu powęgięku, ze względu na coraz zwiększającą się ilość węgierskich podróżników.

— **Towarzystwo Ochrony Tatr Polskich** zajmuje się bardzo gorliwie sprawą rozprzedaży udziałów wypuszczonych przez Towarzystwo z myślą nabycia na własność Zakopanego, ale do celu jeszcze daleko. Dr. Markiewicz udał się w tej sprawie do Wiednia. Ci, którzy pragną nabyć Zakopane na spekulację, rozwijają czynność wielką. Ks. Hohenlohe, właściciel Jaworzyna Spiskiego, wykupuje przez agentów swoich od soltysów okręgu Nowego Bielska, udziały ich w halach przy *Morskiem Oku*.

— **Żeleński** zamierza dać w Paryżu koncert złożony całkowicie ze swoich kompozycji.

— **Cesarzowa Fryderykowa**, dowiedziawszy się o powodzi Poznania, zapytała telegrafem prezesa regencji poznańskiej o szczegóły zalewu. Odpowiedź, dana także telegrafem, brzmiała, że woda doszła do tegosamego stopnia wysokości, co i w roku zeszłym i w takiej samej postaci, jak to dostojna pani w roku zeszłym widziała.

— **W Berlinie jest 1.131 stowarzyszeń**. Z tych 154 przypada na przemysł i handel. Stowarzyszeń rzemieślniczych jest 50, muzycznych i śpiewaczych 69, religijnych 40, kas pożyczkowych także 40. Reszta w przeważnej części jest poświęconych dobroczynności.

— **Przeciw zepsuciu w teatrach** założył w Berlinie stowarzyszenie hr. Hochberg, dyrektor teatrów cesarskich. Nagradzanie cnoty jest jednym z celów stowarzyszenia.

— **Cezar Correnti** zostawił wśród rękopismów swoich historii polskiej tom jeden tylko, pierwszy, zupełnie gotowy do druku. Obejmuje on dzieje

1) Następca jego został p. Quesnay de Beaupaire. Oskarżenie już podpisane. Boulanger wydany w ręce sprawiedliwości. Sądem na niego jest senat. On sam uciekł do Belgii. (P. Red.)

nasze od Piasta po czas pierwszego rozbioru. Dalsze trzy tomy, mające obejmować filozofią naszych dziejów, historią piśmiennictwa, prawodawstwa, umiejętności i sztuki, przedstawiają obok notat bardzo obszernych, wyciągów, streszczeń z naszych i obcych pisarzy, myśli Correntiego o dziejach naszych, poglądy jego na pewne ich epoki i stosunki z mocarstwami ościennymi. Senator Tuliusz Massarani i hr. Wł. Kulczycki, przyjaciel zmarłego, zostali zaproszeni przez wdowę, Maryą Correnti, do przejrzania tej spuścizny, która mieści jeszcze całe tomy przekładów z polskiego, dokonanych dla Correntiego przez Kulczyckiego i p. Mal. Ogonowską, lecz i te są opatrzone niemal na każdej stronicie długimi przypiskami nieboszczyka. Correnti zgromadził jeszcze wielką ilość najrzadszych rękopism i dokumentów o kraju naszym, w znacznej liczbie mało znanych, bo wcale nie drukowanych, a które w wiarogodnych opisach zajmują całą salę biblioteczną. Skarby to są dla literatury historycznej i Massarani głosował za odesłaniem tych wszystkich rzeczy Akademii Krakowskiej, hr. Kulczycki oświadczył się za muzeum w Rapperswylu; lecz wdowa nie poszła za żadną z tych rad. Te skarby pracy i szlachetnych myśli zmarłego mają naturalną dziedziczkę w córce już osiemnastoletniej, Adelaidzie, i matka pragnie zachować do jej pełnoletności rozporządzenie tą drogocenną spuścizną po szlachetnym mężu. Kulczycki tak zowie Correntiego na zasadzie pięknego, jak brylant czystego i jasnego, życia, oraz prac jego, między którymi niepoślednie miejsce zajmie *Rys dziejów*, opracowany filozoficznie z głębokim wejściem w ducha swego przedmiotu. Wieści o wygotowaniu do druku trzech tomów były nieprawdziwe.

WYSTAWA PRACY KOBIEC.

— **Wystawa pracy kobiet** zapowiada się bardzo świetnie. Oprócz korespondencji licznie codziennie napływających, złożono już pięćdziesiąt trzy deklaracje z rozmaitych działów pracy kobiecej: najwięcej jednak z działów bielizny i haftów, oraz sztuki stosowanej. Prawie wszystkie kioski, szafy i gabloty, oddane bezpłatnie do dyspozycji wystawczyń, zostały już rozebrane.

Członkowie komitetu, po większej części nasze panie, silnie agitują na korzyść wystawy, czy to osobiście, czy też zapomocą korespondencji. Jest pewność, że wszystkie sale, przeznaczone na wystawę, będą szczelnie okazami zapełnione. Kancelarya zaś wystawy zgłaszającym się wystawczyńom udziela wszelkich objaśnień i czyni możliwe ułatwienia.

W przeszłym tygodniu zarząd wystawy, złożony z prezesa komitetu, dyrektora muzeum i sekretarza komitetu wystawy, dopełnił podziału lokalu, przeznaczonego na wystawę na działy programem objęte, w ten sposób, aby działy pokrewne znalazły się obok siebie. Dla wyrobów włóściańskich, stanowiących jedną całość bez względu na rodzaj okazu, przeznaczono oddzielną salę.

Sformowanie list komisji odbiorczej i sądowniczej jest obecnie przedmiotem obrad komitetu wystawy.

— Na posiedzeniu komitetu wystawy pracy kobiet, odbytem w gmachu muzeum w dniu 6 Kwietnia r. b., na wniosek prezesa komitetu hr. Józefa Krasińskiego, zapadła decyzja, ażeby każda z firm lub pracowni przyjmujących udział w wystawie,

mogła wykonywać swą pracę wobec publiczności w pewnych godzinach dnia, w osobnej sali wystawowej, a to dla pokazania sposobu wykonywania danej pracy, jak również i dla zainteresowania nią szerszej publiczności.

Następnie wydana została, również na wniosek prezesa komitetu decyzja następująca: wystawczyńie samodzielnie pracujące otrzymywać będą nagrody programem objęte, firmy zaś odznaczone dyplomami lub medalami złotymi mogą oprócz tego przedstawić właściwą pracownicę do listu pochwalnego.

Na wniosek zaś członka komitetu, p. Henrykowej Natansonowej, uchwalonem zostało, że za swoje wyroby odznaczeni włóścianie otrzymywać będą w miejsce nagrody pieniężnej przedmioty do gospodarstwa domowego służące, jako to: zegary, kierznie i t. p.

Lista osób, wchodzących, tak w skład komisji odbiorczej, jak i sądowniczej, w tych dniach urzędowo ogłoszoną zostanie.

Nowe książki.

Rawita Fr. Na krasnym dworze, powieść historyczna z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego, napisał... Warszawa, 1889 r. rs. 1 k. 33.

Rodziewiczówna Marya. Dewajtis, powieść współczesna, uwieńczona na konkursie „Kurjera Warszawskiego“ dnia 1-go maja 1888 roku. Warszawa, 1889 r. rs. 1 kop. 50.

Sarnecki Zygmunt. Nowelle. Stasia. — Drugie dziecko. — Wróble. — Powiem mamie. — Nastka. — Sielanka. Warszawa, 1888 r. rs. 1.

Szczęśny Z. ks. Wiedza chrześcijańska i bezbożna wobec zadań społecznych. Lwów, 1889 r. rs. 2 kop. 60.

Szląk (Pruski) słowem i ołówkiem, na podstawie najnowszych źródeł przedstawiony. Warszawa, 1889 r. w oprawie w tekturkę rs. 1.

Urbanowska Zofia. Guccio zezarowany, powieść dla młodszych dzieci, z dziesięcioma rycinami kolorowanymi rysunku C. Jankowskiego, wydanie 2-gie. Warszawa, 1889 r. rs. 1 kop. 20.

Zielińska-Grzymała Michalina (M...a). W szkole życia, powieść dla młodzieży. Praca premiowana na konkursie „Przeglądu Pedagogicznego“ 1887 r. (z 4-ma rycinami X. Pillatiego. Warszawa, 1889 r. w oprawie w tekturkę rs. 1, w płótno angielskie rs. 1 kop. 50.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona.

Zeszyt k. 25.
Pocztą 32.

TANIE WYDANIE

Zeszyt k. 25.
Pocztą 32.

Wyszły z druku zeszyty pierwszy, drugi, trzeci i czwarty dzieła p. t.

PISMO ŚWIĘTE

STAREGO I NOWEGO TESTAMENTU

Jedyna w swoim rodzaju pod względem przepychu edycja ozdobiona 230 drzeworytami

rysunku najslawniejszego francuzkiego ilustratora

GUSTAWA DORÉ,

przekład X. JAKÓBA WUJKA,

zatwierdzony przez Stolicę Apostolską.

Wydanie nowe z objaśnieniami, zatwierdzone przez Konsystorz Archidiecezyi Warszawskiej.

Każdy zeszyt zawiera 3 — 4 arkuszy druku oraz 3 lub 4 wielkie ryciny oddzielnie na grubym ilustracyjnym papierze odbite; zeszyty wychodzą w przerwach 10 — 12 dniowych; zeszytów będzie 60.

WARUNKI PRENUMERATY:

Żadne zaliczenie nie jest wymaganiem; — zapisujący się płaci 25 kopiejek przy odbiorze zeszytu. Za podaniem adresu księgarnia wydawcy M. Glücksberga przy ulicy Królewskiej Nr. 5 przesyła zeszyty do domu.

Z przesyłką pocztą liczy się zeszyt kop. 32, prenumeratę z prowincji nadsyłać można częściowo, lecz naraz najmniej na 5 zeszytów, czyli rs. 1 kop. 60, gdyż na prowincję naraz po 5 zeszytów ekspedować się będzie.

Nadsyłający z prowincji odrazu prenumeratę na całe dzieło płacą tylko rs. 17 zamiast rs. 19 kop. 20, jakto przy częściowej opłacie wypada.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca, ulica Królewska Nr. 5.

TREŚĆ: W Kwietniu wiersz przez M. Ilnicką. — Pogawędka. — Przyjaciółki Balzaca. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Jan Rowland Stanley. — Nowiny paryzkie. — Z bieżącej chwili

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: Alicya O'Brien, przez Skeffingtona Thompsona. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 5 Апрелья 1889 года.